

Andrzej Sapkowski - Wiedźmin

www.bookswarez.prv.pl

I

Później mówiono, że człowiek ten nadszedł od północy od bramy Powroźniczej. Szedł pieszo, a objuczony konia prowadził za uzde. Było późne popołudnie i kramy powroźników i rymarzy były już zamknięte, a uliczka pusta. Było ciepło, a człowiek ten miał na sobie czarny płaszcz narzucony na ramiona. Zwracał uwagę.

Zatrzymał się przed gospodą "Stary Narakort", postąpił chwilę, posłuchał gwaru głosów. Gospoda, jak zwykle o tej porze, była pełna ludzi.

Nieznajomy nie wszedł do "Starego Narakortu". Pociągnął konia dalej, w dół uliczki. Tam była druga karczma, mniejsza, nazywała się "Pod Lisem". Tu było pusto. Karczma nie miała najlepszej sławy.

Karczmarz uniósł głowę znad beczki kiszonych ogórków i zmierzył gościa wzrokiem. Obcy, ciągle w płaszczu, stał przed szynkwasem sztywno, nieruchomo, milczał.

- Co podać?

- Piwa - rzekł nieznajomy. Głos miał nieprzyjemny.

Karczmarz wytarł ręce o płócienny fartuch i napełnił gliniany kufel. Kufel był wyszczerbiony.

Nieznajomy nie był stary, ale włosy miał prawie zupełnie białe. Pod płaszczem nosił wytarty skórzany kubrak, sznurowany pod szyją i na ramionach. Kiedy schował swój płaszcz, wszyscy zauważyli, że na pasie za plecami miał miecz. Nie było w tym nic dziwnego, w Wyzimie prawie wszyscy chodzili z bronią, ale nikt nie nosił miecza na plecach niby luku czy kolczana.

Nieznajomy nie usiadł za stołem, pomiędzy nielicznymi gośćmi, stał dalej przy szynkwasie, godząc w karczmarza przenikliwymi oczami. Pociągnął z kufła.

- Izby na nocleg szukam.

- Nie ma - burknął karczmarz, patrząc na buty gościa, zakurzone i brudne. - W "Starym Narakorcie" pytajcie.

- Tu bym wolał.

- Nie ma - karczmarz rozpoznał wreszcie akcent nieznajomego. To był Riv.

- Zapłać - rzekł obcy cicho, jak gdyby niepewnie.

Wtedy właśnie zaczęła się ta cała paskudna historia. Ospowaty dragał, który od chwili wejścia obcego nie spuszczał z niego ponurego wzroku, wstał i podszedł do szynkwasu. Dwójka jego towarzyszy stanęła z tyłu, nie dalej niż dwa kroki.

- Nie ma miejsca, hultaju, riviński włóczęgo - charknął ospowaty, stając tuż obok nieznajomego. - Nie trzeba nam takich jak ty tu, w Wyzimie. To porządne miasto!

Nieznajomy wziął swój kufel i odsunął się. Spojrzał na karczmarza, ale ten unikał jego wzroku. Ani mu było w głowie bronić Riva. W końcu, kto lubił Riwów?

- Każdy Riv to złodziej - ciągnął ospowaty, zionąc piwem, czosnkiem i złością. - Słyszysz, co mówię, pokrzywniku?

- Nie słyszy. Lajno ma w uszach - rzekł jeden z tych z tyłu, a drugi zarechotał.

- Plać i wynos się! - wrzasnął dziobaty.

Nieznajomy dopiero teraz spojrzal na niego.

- Piwo skoncze.

- Pomożemy ci - syknal dragal. Wytracil Rivowi kufel z reki i jednocześnie chwytajac go za ramie, wpil palce w rzemien przecinajacy skosem piers obcego. Jeden z tych z tylu wzniosl piesc do uderzenia. Obcy zwinal sie w miejscu, wytracajac ospowatego z równowagi. Miecz zasyczał w pochwie i blysnal krótko w swietle kaganków. Zakotlowalo sie. Krzyk. Ktos z pozostałych gosci runal ku wyjściu. Z trzaskiem upadlo krzeslo, glucho mlasnely o podloge gliniane naczynia. Karczmarz - usta mu dygotaly - patrzyl na okropnie rozrabana twarz ospowatego, który wczepiwszy palce w brzeg szynkwasu, osuwal sie, niktal z oczu, jak gdyby tonal. Tamci dwaj lezeli na podlodze. Jeden nieruchomo, drugi wil sie i drgal w rosnacej szybko ciemnej kaluzy. W powietrzu wibrowal, swidrujac uszy, cienki, histeryczny krzyk kobiety. Karczmarz zatrzasl sie, zaczerpnal tchu i zaczal wymiotowac.

Nieznajomy cofnal sie pod sciane. Skurczony, spiety, czujny. Miecz trzymal oburacz, wodzac koncem ostrza w powietrzu. Nikt sie nie ruszal. Zgroza, jak zimne bloto, oblepila twarze, skrepowala czlonki, zatkala gardla.

Straznicy wpadli do karczmy z hukiem i szczekiem, we trzech. Musieli byc w poblizu. Okrecone rzemieniami palki mieli w pogotowiu, ale na widok trupów natychmiast dobyli mieczy. Riv przyglgnal plecami do sciany, lewa reka wyciagnal sztylet z cholewy.

- Rzuc to! - wrzasnal jeden ze strazników rozdygotanym glosem. - Rzuc to, zbóju! Pójdiesz z nami!

Drugi straznik kopnal stól, nie pozwalajacy mu obejsc Riva z boku.

- Lec po ludzi, Treska! - krzyknal do trzeciego, trzymajacego sie blizej drzwi.

- Nie trzeba - rzekl nieznajomy, opuszczajac miecz. - Sam pójde.

- Pójdiesz, psie nasienie, ale na powrozie! - rozdarl sie ten rozdygotany. - Rzuc miecz, bo ci leb rozwale!

Riv wyprostowal sie. Szybko chwycil klingę pod lewa pache, a prawa, uniesiona do góry, w strone strazników, nakreslil w powietrzu skomplikowany, szybki znak. Blysnely cwieki, którymi gesto nabijane byly dlugie az do lokci mankiety skórzanego kaftana.

Straznicy momentalnie cofneli sie, zaslaniajac twarze przedramionami. Któryś z gosci zerwal sie, inny znowu pomknal ku drzwiom. Kobieta znów zakrzyczala, dziko, przerazliwie.

- Sam pójde - powtórzyl nieznajomy dzwiecznym, metalicznym glosem. - A wy trzej przodem.

Prowadzcie do grodzierzcy. Drogi nie znam.

- Tak, panie - wymamrotal straznik, opuszczajac glowe. Ruszyl ku wyjściu, ogladajac sie niepewnie. Dwaj pozostali wyszli za nim, tyłem, pospiesznie. Nieznajomy poszedl w slad, chowajac miecz do pochwy, a sztylet do cholewy. Gdy wymijali stoly, goscie zakrywali twarze polami kubraków.

II

Velerad, grodzierzca Wyzimy, podrapal sie w podbródek, zastanowil sie. Nie byl ani zabobonny, ani bojazliwy, ale nie usmiechalo mu sie pozostanie z bialowlosym sam na sam. Wreszcie zdecydowal sie.

- Wyjdzcie - rozkazal straznikom. - A ty siadaj. Nie, nie tu. Tam dalej, jesli wola.

Nieznajomy usiadl. Nie mial juz ani miecza, ani czarnego plaszcz.

- Slucham - rzekl Velerad, bawiac sie ciezkim buzdyganem lezacy na stole. - Jestem Velerad, grodzierzca Wyzimy. Co mi masz do powiedzenia, mosci rozbójniku, zanim pójdiesz do lochu? Trzech zabitych, próba rzucenia uroku, niezle, calkiem niezle. Za takie rzeczy u nas w

Wyzimie wbija sie na pal. Ale ze mnie sprawiedliwy człek, wyslucham cie przedtem. Mów.
Riv rozpiął kubrak, wydobył spod niego zwitek białej kozłej skóry.

- Na rozstajach, po karczmach przybijacie - powiedział cicho. - Prawda to, co napisane?

- A - mruknął Velerad, patrząc na wytrawione na skórze runy. - To taka sprawa. Ze też od razu się nie domysliłem. Ano, prawda, najprawdziwsza. Podpisane jest: Foltest, król, pan Temerii, Pontaru i Mahakamu. Znaczy, prawda. Ale oredzie oredziem, a prawo prawem. Ja tu, w Wyzimie, prawa pilnuje i porządku! Ludzi mordować nie pozwolę! Zrozumiales?

Riv kiwnął głową na znak, że rozumiał. Velerad sapnął gniewnie.

- Znak wiedźmiński masz?

Nieznajomy znów sięgnął w rozcięcie kaftana, wygrzebał okragły medalion na srebrnym lancuszkę. Na medalionie wyobrazony był łeb wilka z wyszczerzonymi kłami.

- Imię jakieś masz? Może być jakie, nie pytam z ciekawości, tylko dla ułatwienia rozmowy.

- Nazywam się Geralt.

- Może być i Geralt. Z Rivii, jak wnoszę z wymowy?

- Z Rivii.

- Tak. Wiesz co, Geralt? Z tym - Velerad klepnął w oredzie otwartą dłoń - z tym daj sobie spokój. To poważna sprawa. Wielu już próbowało. To, bracie, nie to samo, co paru obwiesiów pochłastać.

- Wiem. To mój fach, grododzierzco. Napisane jest: trzy tysiące orenów nagrody.

- Trzy tysiące - Velerad wydmuchnął wargi. - I królowa za żonę, jak ludzie gadają, chociaż tego miłościwy Foltest nie dopisał.

- Nie jestem zainteresowany królową - rzekł spokojnie Geralt. Siedział nieruchomo z rękami na kolanach. - Napisane jest: trzy tysiące.

- Co za czasy - westchnął grododzierzco. - Co za parszywe czasy! Jeszcze dwadzieścia lat temu, kto by pomyślał, nawet po pijanemu, że takie profesje będą? Wiedźmini! Wedrowni zabójcy bazylijszków! Domokrazni pogromcy smoków i utopców! Geralt? W twoim cechu piwo wolno pić?

- Pewnie.

Velerad klasnął w dłoń.

- Piwa! - zawołał. - A ty, Geralt, siadaj bliżej. Co mi tam.

Piwo było zimne i pieniste.

- Parszywe czasy nastaly - monologował Velerad pociągając z kufla. - Namnożyło się wszelkiego plugastwa. W Mahakamie, w górach, aż roi się od bobolaków. Po lasach dawniej były wilki, a teraz akurat: upiory, borowiki jakieś, gdzie nie spluniesz, wilkolak albo inna zaraza. Po wsiach rusalki i płaczki porywają dzieci, to już idzie w setki. Choroby, o jakich nikt dawniej nie słyszał, włos się jeży. No i jeszcze to do kompletu! - popchnął zwitek skóry po blacie stołu. - Nie dziwota, Geralt, że taki popyt na wasze usługi.

- To królewskie oredzie, grododzierzco - Geralt uniósł głowę. - Znacie szczegóły?

Velerad odchylił się na krzesle, splótł dłoń na brzuchu.

- Szczegóły, mówisz? A znam. Nie to, żeby z pierwszej reki, ale z dobrych źródeł.

- O to mi właśnie chodzi.

- Uparles się. Jak chcesz. Słuchaj - Velerad popił piwa, sciszył głos. - Nasz miłościwy Foltest jeszcze jako królewicz, za rządów starego Medella, swojego ojca, pokazywał nam, co potrafi, a potrafił wiele. Liczyliśmy, że mu to z wiekiem przejdzie. A tymczasem krótko po swojej koronacji, zaraz po śmierci starego króla, Foltest przeszedł samego siebie. Aż nam wszystkim szczeniaki poopadały. Krótko mówiąc: zrobił dziecko swojej rodzonej siostrze Addzie. Adda była

młodsza od niego, zawsze trzymali się razem, ale nikt niczego nie podejrzewał, no, może królowa... Krótko: patrzmy, a tu Adda o, z takim brzuchem, a Foltest zaczyna gadać o ślubie. Z siostrą, uważasz, Geralt? Sytuacja zrobiła się napięta jak diabli, bo akurat Vizimir z Novigradu umyślił wydać za Foltesta swoją Dalke, wysłał poselstwo, a tu trzeba trzymać króla za ręce i nogi, bo chce biec i łzyć posłów. Udało się, i dobrze, bo obrażony Vizimir wyprulby z nas bebechy. Potem, nie bez pomocy Addy, która wpłynęła na braciszka, udało się wyperswadować szczeniakowi szybki ślub. No, a potem Adda urodziła, w przepisowym czasie, a jakże. A teraz słuchaj, bo zaczyna się. Tego, co się urodziło, wiele osób nie widziało, ale jedna położna wyskoczyła oknem z wieży i zabiła się, a druga dostała pomieszania zmysłów i do dzisiaj jest kolowata. Sadzę zatem, że nadbekart nie był specjalnie urodziwy. To była dziewczynka. Zmarła zresztą zaraz, nikt, jak mi się zdaje, nie spieszył się z nadzwyczajnym powagą. Adda, na swoje szczęście, nie przeżyła porodu. A potem, bracie, Foltest po raz kolejny zrobił z siebie durnia. Nadbekarta trzeba było spalić albo, bo ja wiem, zakopać gdzieś na pustkowiu, a nie chować go w sarkofagu w podziemiach pałacu.

- Za późno teraz na roztrząsanie - Geralt uniósł głowę. - W każdym razie należało wezwać kogoś z Wiedzących.

- Mówisz o tych wydrwigroszach z gwiazdkami na kapeluszach? A jakże, zleciało się ich z dziesięciu, ale już potem, kiedy okazało się, co leży w tym sarkofagu. I co z niego nocami wylazi. A zaczęło wylazić nie od razu, o nie. Siedem lat od pogrzebu był spokój. Az tu któreś nocy, była pełnia księżyca, wrzask w pałacu, krzyk, zamieszanie! Co tu dużo gadać, znasz się na tym, oredzie też czytales. Niemowlak podrośł w trumnie, i to niezłe, a i żeby wyrosły mu jak się patrzy. Jednym słowem, strzyga. Szkoda, że nie widziałes trupów. Tak jak ja. Pewnie ominałbys Wyzime szerokim łukiem.

Geralt milczał.

- Wtedy - ciągnął Velerad - jak mówiłem, Foltest skrzyknął do nas całą gromadę czarowników. Jazgotali jeden przez drugiego, o mało nie pobili się tymi swoimi dragami, co to je noszą, pewnie żeby psy odpedzać, jak ich ktoś poszczuje. A myślę, że szczują ich regularnie. Przepraszam, Geralt, jeśli masz inne zdanie o czarodziejach, w twoim zawodzie pewnie je masz, ale dla mnie to darmozjady i durnie. Wy, wiedźmini, budzicie wśród ludzi większe zaufanie. Jesteście przynajmniej, jakby tu rzec, konkretni.

Geralt uśmiechnął się, nie skomentował.

- No, ale do rzeczy - grodzierzca zajrzał do kufla, dołal piwa sobie i Rivowi. - Niektóre rady czarowników wydawały się całkiem niegłupie. Jeden proponował spalenie strzygi razem z pałacem i sarkofagiem, inny radził odrabac jej łeb szpadłem, pozostali byli zwolennikami wbijania osinowych kolków w różne części ciała, oczywiście za dnia, kiedy diaboliczna spalała w trumnie, zmordowana po nocnych uciechach. Niestety, znalazł się jeden, błazen w spiczastej czapce na łysym czerepie, garbaty eremita, który wymyślił, że to są czary, że to się da odczynić i że ze strzygi znowu będzie Foltestowa córka, słodka jak malowanie. Trzeba tylko przesiedzieć w krypcie całą noc, i już, po krzyku. Po czym, wyobrazasz sobie, Geralt, co to był za półglówek, poszedł na noc do dworzyszczka. Jak łatwo zgadnąć, wiele z niego nie zostało, bodajże tylko czapka i laga. Ale Foltest uczepił się tego pomysłu jak rzep psiego ogona. Zakazał wszelkich prób zabicia strzygi, a ze wszystkich możliwych zakamarków kraju poscigał do Wyzimy szarlatanów, aby odczarować strzygę na królowę. To była dopiero malownicza kompania! Jakies pokrecone baby, jacyś kulawcy, brudni, bracie, zawszeni, litosc brała. No i dawaj czarować, głównie nad miską i kuflow. Pewnie, niektórych Foltest albo rada zdemaskowali przedko, paru nawet powiesili na ostrokołach, ale za mało, za mało. Ja bym ich

wszystkich powiesil. Tego, ze strzyga w tym czasie zagryzala co rusz kogos innego, nie zwracajac na oszustów i ich zaklecia zadnej uwagi, dodawac chyba nie musze. Ani tego, ze Foltest nie mieszkal juz w palacu. Nikt juz tam nie mieszkal.

Velerad przerwal, popil piwa. Wiedzmin milczal.

- I tak to sie ciagnie, Geralt, szesc lat, bo to sie urodzilo tak jakos czternascie lat temu. Mielismy w tym czasie troche innych zmartwien, bo pobilismy sie z Vizimirem z Novigradu, ale z porzadnych, zrozumialych powodów, poszlo nam o przesuwanie slupów granicznych, a nie tam o jakies córki czy koligacje. Foltest, nawiasem mówiac, zaczyna juz przebakiwac o malzenstwie i oglada przesylane przez sasiednie dwory konterfekty, które dawniej zwykl byl wrzucac do wychodka. No, ale co jakis czas opada go znowu ta mania i rozsyła konnych, by szukali nowych czarowników. No i nagrode obiecal, trzy tysiace, przez co zbieglo sie troche postrzelenców, blednych rycerzy, nawet jeden pastuszek, kretyn znany w calej okolicy, niech spoczywa w pokoju. A strzyga ma sie dobrze. Tyle ze co jakis czas kogos zagryzie. Można sie przyzwyczaić. A z tych bohaterów, co ja próbują odczarowywac, jest chociaz taki pozytek, ze bestia nazera sie na miejscu i nie szwenda poza dworzyszczem. A Foltest ma nowy palac, calkiem ladny.

- Przez szesc lat - Geralt uniósł glowe - przez szesc lat nikt nie zalatwil sprawy?

- Ano nie - Velerad popatrzył na wiedzmina przenikliwie. - Bo pewnie sprawa jest nie do zalatwienia i przyjdzie sie z tym pogodzic. Mówie o Foltescie, naszym milosciwym i ukochanym wladcy, który ciagle jeszcze przybija te oredzia na rozstajnych drogach. Tyle ze chetnych zrobilo sie jakby mniej. Ostatnio, co prawda, byl jeden, ale chcial te trzy tysiace koniecznie z góry. No to wsadzilismy go do worka i wrzucilismy do jeziora.

- Oszustów nie brakuje.

- Nie, nie brakuje. Jest ich nawet sporo - przytaknal grododzierzca, nie spuszczajac z wiedzmina wzroku. - Dlatego jak pójdiesz do palacu, nie zadaj zlota z góry. Jezeli tam w ogóle pójdiesz.

- Pójde.

- Ano, twoja sprawa. Pamietaj jednak o mojej radzie. Jezeli zas juz o nagrodzie mowa, ostatnio zaczelo sie mówic o jej drugiej czesci, wspomnialem ci. Królowna za zone. Nie wiem, kto to wymyslil, ale jezeli strzyga wyglada tak, jak opowiadaja, to zart jest wyjatkowo ponury. Wszelakoz nie zabraklo durniów, którzy pognali do dworzyszczu galopem, jak tylko wiesc gruchnela, ze jest okazja wejsc do królewskiej rodziny. Konkretnie, dwóch czeladników szewskich. Dlaczego szewcy sa tacy glupi, Geralt?

- Nie wiem. A wiedzmini, grododzierzco? Próbowali?

- Bylo kilku, a jakze. Najczesciej, kiedy uslyszeli, ze strzyge trzeba odczarowac, a nie zabic, wzruszali ramionami i odjezdzieli. Dlatego tez znacznie wzrósl mój szacunek dla wiedzminów, Geralt. No a potem przyjechal jeden, mlodszy byl od ciebie, imienia nie pamietam, o ile je w ogóle podal. Ten spróbowal.

- No i?

- Zebata królowna rozwlóczyła jego flaki na sporej odleglosci. Z pól strzelenia z luku.

Geralt pokiwal glowa.

- To wszyscy?

- Byl jeszcze jeden.

Velerad milczal przez chwile. Wiedzmin nie ponaglal go.

- Tak - rzekl wreszcie grododzierzca. - Byl jeszcze jeden. Z poczatku, gdy mu Foltest zagrozil szubienica, jezeli zabije lub okaleczy strzyge, rozesmial sie tylko i zaczal sie pakowac. No, ale potem...

Velerad ponownie sciszyl glos prawie do szeptu, nachylajac sie przez stól.

- Potem podjął się zadania. Widzisz, Geralt, jest tu w Wyzimie paru rozumnych ludzi, nawet na wysokich stanowiskach, którym cała ta sprawa obrzydła. Plotka głosi, że ci ludzie przekonali po cichu wiedźmina, aby nie bawił się w żadne ceregiele ani czary, zatłukł strzygę, a królowi powiedział, że czar nie podziałał, że córeczka spadła ze schodów, no że zdarzył się wypadek przy pracy. Król, wiadomo, rozżalował się, ale skończył na tym, że nie zapłaci ani oreną nagrody. Szelma wiedźmin na to, że za darmo sami sobie możemy chodzić na strzygi. No, co było robić... Złożyliśmy się, potargowali... Tylko że nic z tego nie wyszło.

Geralt podniósł brwi.

- Nic, powiadam - rzekł Velerad. - Wiedźmin nie chciał iść od razu, pierwszej nocy. Łaził, czaił się, krecił po okolicy. Wreszcie, jak powiadają, zobaczył strzygę, zapewne w akcji, bo bestia nie wylaziła z krypty tylko po to, żeby rozprostować nogi. Zobaczył ją więc i tej samej nocy zwał. Bez pożegnania.

Geralt wykrzywił lekko wargi w czymś, co prawdopodobnie miało być uśmiechem.

- Rozumni ludzie - zaczął - zapewne mają jeszcze te pieniądze? Wiedźmini nie biorą z góry.

- Ano - rzekł Velerad - pewnie mają.

- Plotka nie mówi, ile tego jest?

Velerad wyszczerzył zęby.

- Jedni mówią: osiemset...

Geralt pokręcił głową.

- Inni - mruknął grodzierzca - mówią o tysiącu.

- Nieduzo, jeśli wziąć pod uwagę, że plotka wszystko wyolbrzymia. W końcu król daje trzy tysiące.

- Nie zapominaj o narzeczonej - zadrwił Velerad. - O czym my rozmawiamy? Wiadomo, że nie dostaniesz tamtych trzech tysięcy.

- Skąd to niby wiadomo?

Velerad huknął dłonią o blat stołu.

- Geralt, nie psuj mojego wyobrażenia o wiedźminach! To już trwa sześć lat z hakiem! Strzyga wykancza do pół setki ludzi rocznie, teraz mniej, bo wszyscy trzymają się z daleka od palacu. Nie, bracie, ja wierzę w czary, niejedno widziałem i wierzę, do pewnego stopnia, rzecz jasna, w zdolności magów i wiedźminów. Ale z tym odczarowywaniem to bzdura, wymyślona przez garbatego i usmarkanego dziada, który zgłupiał od pustelniczego wikt, bzdura, w którą nie wierzy nikt. Prócz Foltesta. Nie, Geralt! Adda urodziła strzygę, bo spała z własnym bratem, taka jest prawda i żaden czar tu nie pomoże. Strzyga zje ludzi, jak to strzyga, i trzeba ją zabić, normalnie i po prostu. Słuchaj, dwa lata temu kmiotkowie z jakiegoś zapadłego zadupia pod Mahakamem, którym smok wyzerwał owce, poszli kupa, zatłukli go kłonicami i nawet nie uznali za celowe się tym szczególnie chwalić. A my tu, w Wyzimie, czekamy na cud i ryglujemy drzwi przy każdej pełni księżyca albo wiazemy przestępców do palika przed dworzyszczem licząc, że bestia nazre się i wróci do trumny.

- Niezły sposób - uśmiechnął się wiedźmin. - Przestępczość zmalala?

- Ani trochę.

- Do palacu, tego nowego, któredy?

- Zaprowadzę cię osobiście. Co będzie z propozycją rzuconą przez rozumnych ludzi?

- Grodzierzco - rzekł Geralt. - Po co się spieszyć? Przecież naprawdę może zdarzyć się

wypadek przy pracy, niezależnie od moich intencji. Wtedy rozumni ludzie winni pomyśleć, jak ocalić mnie przed gniewem króla i przygotować te tysiąc pięćset orenów, o których mówi plotka.

- Miało być tysiąc.

- Nie, panie Velerad - powiedział wiedzmin stanowczo.
 - Ten, któremu dawaliscie tysiac, uciekl na sam widok strzygi, nawet sie nie targowal. To znaczy, ryzyko jest wieksze niz tysiac. Czy nie jest wieksze niz półtora tysiac, okaze sie. Oczywiście, ja sie przedtem pozegnam.
- Velerad podrapal sie w glowe.
- Geralt? Tysiac dwiescie?
 - Nie, grodozierzco. To nie jest latwa robota. Król daje trzy, a musze wam powiedziec, ze odczarowac jest czasem latwiej niz zabic. W koncu któryś z moich poprzedników zabilby strzyge, gdyby to bylo takie proste. Myslicie, ze dali sie zagryzc tylko dlatego, ze bali sie króla?
 - Dobra, bracie - Velerad smetnie pokiwal glowa. - Umowa stoi. Tylko przed królem ani mru-mru o mozliwosci wypadku przy pracy. Szczerze ci radze.

III

Foltest byl szczuply, mial ladna - za ladna - twarz. Nie mial jeszcze czterdziestki, jak ocenil wiedzmin. Siedzial na karle rzezbionym z czarnego drewna, nogi wyciagnal w strone paleniska, przy którym grzaly sie dwa psy. Obok, na skrzyni siedzial starszy, poteznie zbudowany mezczyzna z broda. Za królem stal drugi, bogato odziany, z dumnym wyrazem twarzy. Wielmoza.

- Wiedzmin z Rivii - powiedzial król po chwili ciszy, jaka zapadla po wstepnej przemowie Velerada.
 - Tak, panie - Geralt schylil glowe.
 - Od czego ci tak leb posiwial? Od czarów? Widze, zes niestary. Dobrze juz, dobrze. To zart, nie nie mów. Doswiadczenie, jak smiem przypuszczac, masz niejakie?
 - Tak, panie.
 - Radbym posluchac.
- Geralt sklonil sie jeszcze nizej.
- Wiecie wszak, panie, ze nasz kodeks zabrania mówienia o tym, co robimy.
 - Wygodny kodeks, mosci wiedzminie, wielce wygodny. Ale tak, bez szczególow, z borowikami miales do czynienia?
 - Tak.
 - Z wampirami, z leszymi?
 - Tez.

Foltest zawahal sie.

- Ze strzygami?

Geralt uniósł glowe, spojrzal królowi w oczy.

- Tez.

Foltest odwrócił wzrok.

- Velerad!
- Slucham, milosciwy panie.
- Wprowadziles go w szczególy?
- Tak, milosciwy panie. Twierdzi, ze królowne mozna odczarowac.
- To wiem od dawna. W jaki sposób, mosci wiedzminie? Ach, prawda, zapomnialem. Kodeks. Dobrze. Tylko jedna mala uwaga. Bylo tu juz u mnie kilku wiedzminów. Velerad, mówiles mu? Dobrze. Stad wiem, ze wasza specjalnoscia jest raczej zabijanie, a nie odczynianie uroków. To nie wchodzi w rachube. Jezeli mojej córce spadnie wlos z glowy, ty swoja polozysz na pienku. To tyle. Ostrit, a i wy, panie Segelin, zostancie, udzielcie mu tyle informacji, ile bedzie chcial.

Oni zawsze dużo pytają, wiedźmini. Nakarmcie go i niech mieszka w pałacu. Niech się nie włóczy po karczmach.

Król wstał, gwizdł na psy i ruszył ku drzwiom, rozrzucając słomę pokrywającą podłogę komnaty. Przy drzwiach odwrócił się.

- Uda ci się, wiedźminie, nagroda jest twoja. Może jeszcze coś dorzucę, jeśli dobrze się spiszesz. Oczywiście, bajania pospółstwa co do ożenku z królową nie zawierają słów prawdy. Nie sądzisz chyba, że wydam córkę za byle przybłedę?

- Nie, panie. Nie sądzę.

- Dobrze. To dowodzi, że jesteś rozumny.

Foltest wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Velerad i wielmożni, którzy dotychczas stali, natychmiast rozsiedli się przy stole. Grododzierzca dopił w połowie pełny puchar króla, zajrzał do dzbanka, zaklął. Ostrit, który zajął fotel Foltesta, patrzył na wiedźminą spod łba, gładząc dłońmi rzeźbione poręcze. Segelin, brodac, skinął na Geralt.

- Siadajcie, goście wiedźminie, siadajcie. Zaraz wieczorem podadzą. O czym chcielibyście rozmawiać? Grododzierzca Velerad powiedział wam już chyba wszystko. Znam go i wiem, że powiedział przed tym za dużo niż za mało.

- Tylko kilka pytań.

- Zadajcie je.

- Mówił grododzierzca, że po pojawieniu się strzygi król wezwał wielu Wiedźmacych.

- Tak było. Ale nie mówcie: "strzyga", mówcie: "królowa". Łatwiej unikniecie takiej pomyłki przy królu... i związanych z tym przykrości.

- Czy wśród Wiedźmacych był ktoś znany? Sławny?

- Byli tacy i wówczas, i później. Nie pamiętam imion... A wy, panie Ostrit?

- Nie pamiętam - rzekł wielmożni. - Ale wiem, że niektórzy cieszyli się sławą i uznaniem. Mówiło się o tym dużo.

- Czy byli zgodni co do tego, że zaklęcie można zdjąć?

- Byli dalecy od zgody - uśmiechnął się Segelin. - W każdym przedmiocie. Ale takie stwierdzenie padło. Miało to być proste, wręcz nie wymagające zdolności magicznych, i jak zrozumiałem, wystarczyło, aby ktoś spędził noc, od zachodu słońca do trzecich kurów, w podziemiu, przy sarkofagu.

- Rzeczywiście, proste - parsknął Velerad.

- Chciałbym usłyszeć opis... królowy.

Velerad zerwał się z krzesła.

- Królowa wygląda jak strzyga! - wrzasnął.

- Jak najbardziej strzygowata strzyga, o jakiej słyszałem! Jej wysokość królewska córka, przeklęty nadbeka, ma cztery łokcie wzrostu, przypomina baryle piwa, ma mordę od ucha do ucha, pełna zębów jak sztylęty, czerwone ślepią i rude kudły! Łapska, opazurzone jak u zająca, wisi jej do samej ziemi! Dziwicie się, że jeszcze nie zaczęliśmy rozsyłać jej miniatur po zaprzyjazznionych dworach! Królowa, niech ją zaraza udusi, ma już czterdzieści lat, czas pomyśleć o wydaniu jej za jakiegoś królewicza!

- Pohamuj się, grododzierzco - zmarszczył się Ostrit, zerkając w stronę drzwi. Segelin uśmiechnął się lekko.

- Opis, choć tak obrazowy, był w miarę dokładny, a o to chodziło gościom wiedźminowi, prawda? Velerad zapomniał dodać, że królowa porusza się z niewiarygodną prędkością i jest o wiele silniejsza, niż można wnosić z jej wzrostu i budowy. A to, że ma czterdzieści lat, jest faktem. O ile to ważne.

- Wazne - powiedzial wiedzmin. - Czy ataki na ludzi zdarzaja sie tylko podczas pelni?
- Tak - odrzekl Segelin. - Jezeli napada poza starym palacem. W palacu, niezaleznie od fazy ksiezycy, ludzie gineli zawsze. Ale wychodzi tylko podczas pelni, a i to nie kazdej.
- Czy byl chociaz jeden wypadek ataku za dnia?
- Nie. Za dnia nie.
- Zawsze pozera ofiary?

Velerad splunal zamaszyscie na slome.

- Niech cie, Geralt, zaraz wieszca bedzie. Tfu! Pozera, nadgryza, zostawia, różnie, zaleznie od humoru zapewne. Jednemu tylko glowe odgryzla, paru wybebeszyla, a paru ogryzla na czysto, do gola, mozna by rzec. Taka jej mac!
 - Uwazaj, Velerad - syknal Ostrit. - O strzydze gadaj, co chcesz, ale Addy nie obrazaj przy mnie, bo przy królu sie nie odwazasz!
 - Czy byl ktos, kogo zaatakowala, a przezył? - spytal wiedzmin, pozornie nie zwracajac uwagi na wybuch wielmozy.
- Segelin i Ostrit spojrzeli po sobie.
- Tak - powiedzial brodacz. - Na samym poczatku, szesc lat temu, rzucila sie na dwóch zolnierzy stojacych na warcie u krypty. Jednemu udalo sie uciec.
 - I później - wtracil Velerad - mlynarz, na którego napadla pod miastem. Pamietacie?

IV

Mlynarza przyprowadzono na drugi dzien, późnym wieczorem, do komnatki nad kordegarda, w której zakwaterowano wiedzmina. Przyprowadzil go zolnierz w plaszczu z kapturem.

Rozmowa nie dala wiekszych rezultatów. Mlynarz byl przerazony, belkotal, jakal sie. Wiecej powiedzialy wiedzminowi jego blizny: strzyga miala imponujacy rozstaw szczek i rzeczywiscie ostre zebry, w tym bardzo dlugie górne kly - cztery, po dwa z kazdej strony. Pazury zapewne ostrzejsze od zbiczych, choc mniej zakrzywione. Tylko dlatego zreszta udalo sie mlynarzowi wyrwac.

Zakonczywszy ogladziny, Geralt skinal na mlynarza i zolnierza, odprawiajac ich. Zolnierz wypchnal chlopa za drzwi i zdjal kaptur. Byl to Foltest we wlasnej osobie.

- Siadaj, nie wstawaj - rzekl król. - Wizyta nieoficjalna. Zadowolony z wywiadu? Slyszałem, ze byles w dworzyszczu przed poludniem.

- Tak, panie.
- Kiedy przystapisz do dzieła?
- Do pelni cztery dni. Po pelni.
- Wolisz sam sie jej wczesniej przyjrzec?
- Nie ma takiej potrzeby. Ale najedzona... królowna... bedzie mniej ruchliwa.
- Strzyga, mistrzu, strzyga. Nie bawmy sie w dyplomacje. Królowna to ona dopiero bedzie. O tym zreszta przyszedlem z toba porozmawiac. Odpowiadaj, nieoficjalnie, krótko i jasno: bedzie czy nie bedzie? Nie zaslaniaj mi sie tylko zadnym kodeksem.

Geralt potarl czolo.

- Potwierdzam, królu, ze czar mozna odczynic. I jezeli sie nie myle, to rzeczywiscie spedzajac noc w dworzyszczu. Trzecie pianie koguta, o ile zaskoczy strzyge poza sarkofagiem, zlikwiduje urok. Tak zwykle postepuje sie ze strzygami.
- Takie proste?
- To nie jest proste. Trzeba te noc przezyc, to raz. Mozliwe sa tez odstepstwa od normy. Na przyklad nie jedna noc, ale trzy. Kolejne. Sa tez przypadki... no... beznadziejne.

- Tak - zachnął się Foltest. - Ciągłe to słysze od niektórych. Zabić potwora, bo to przypadek nieuleczalny. Mistrzu, jestem pewien, że już z tobą rozmawiano. Co? Żeby zarabac ludojadkę bez ceregieli, na samym wstępie, a królowi powiedzieć, że inaczej się nie dało. Król nie zapłaci, my zapłacimy. Bardzo wygodny sposób. I tani. Bo król kaze ścacić lub powiesić wiedźmin, a złoto zostanie w kieszeni.

- Król bezwarunkowo kaze ścacić wiedźmin? - wykrzywił się Geralt.

Foltest przez dłuższą chwilę patrzył w oczy Riva.

- Król nie wie - powiedział wreszcie. - Ale liczyć się z taką ewentualnością wiedźmin raczej powinien.

Teraz Geralt chwilę pomilczał.

- Zamierzam zrobić, co w mojej mocy - rzekł po chwili. - Ale gdyby poszło źle, będę bronił swojego życia. Wy, panie, też się musicie liczyć z taką ewentualnością.

Foltest wstał.

- Nie rozumiesz mnie. Nie o to chodzi. To jasne, że zabijesz ją, gdy się zrobi gorąco, czy mi się to podoba, czy nie. Bo inaczej ona ciebie zabije, na pewno i nieodwołalnie. Nie rozgłaszam tego, ale nie ukarałbym nikogo, kto zabiłby ją w obronie własnej. Ale nie dopuszczę, aby zabito ją, nie próbując uratować. Były już próby podpalenia starego palacu, strzelali do niej z luków, kopali doły, zastawiali sidła i wnyki dopóty, dopóki kilku nie powiesiłem. Ale nie o to chodzi. Mistrzu, słuchaj!

- Słucham.

- Po tych trzech kurach nie będzie strzygi, jeśli dobrze zrozumiałem. A co będzie?

- Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, czternastolatka.

- Czernooka? Z zębami jak krokodyl?

- Normalna czternastolatka. Tyle że...

- No?

- Fizycznie.

- Masz babo plackę. A psychicznie? Codziennie na śniadanie wiadro krwi? Udko dziewczęcia?

- Nie. Psychicznie... Nie sposób powiedzieć... Sądzę, że na poziomie, bo ja wiem, trzyletniego, czteroletniego dziecka. Będzie wymagała troskliwej opieki przez dłuższy czas.

- To jasne. Mistrzu?

- Słucham.

- Czy to jej może wrócić? Później?

Wiedźmin milczał.

- Aha - rzekł król. - Może. I co wtedy?

- Gdyby po długim, kilkudniowym omdleniu zmarła, trzeba spalić ciało. I to szybko.

Foltest zasepił się.

- Nie sądź jednak - dodał Geralt - aby do tego doszło. Dla pewności udzielię wam, panie, kilku wskazówek, jak zmniejszyć niebezpieczeństwo.

- Już teraz? Nie za wcześnie, mistrzu? A jeżeli...

- Już teraz - przerwał Riv. - Różnie bywa, królu. Może się zdarzyć, że rano znajdziecie w krypcie odczarowaną królową i moją trupę.

- Az tak? Pomimo mojego zezwolenia na obronę własną? Na którym, zdaje mi się, nie bardzo ci nawet zależało?

- To jest poważna sprawa, królu. Ryzyko jest wielkie. Dlatego słuchajcie: królowa stale musi nosić na szyi szafir, najlepiej inkluz, na srebrnym lancusku. Stale. W dzień i w noc.

- Co to jest inkluz?

- Szafir z pecherzykiem powietrza wewnątrz kamienia. Oprócz tego, w komnacie, w której będzie sypiała, należy co jakiś czas palic w kominku galazki jalowca, zarnowca i leszczyzny. Foltest zamyslił się.

- Dziękuję ci za rady, mistrzu. Zastosuje się do nich, jeżeli... A teraz ty posłuchaj mnie uważnie. Jeżeli stwierdzisz, że to przypadek beznadziejny, zabijesz ją. Jeżeli odczynisz urok, a dziewczyna nie będzie... normalna... jeżeli będziesz miał cien wątpliwości, czy ci się udało w pełni, zabijesz ją również. Nie obawiaj się, nic ci nie grozi z mojej strony. Będzie na ciebie krzychał przy ludziach, wypędzi z palacu i z miasta, nic więcej. Nagrody oczywiście nie dam. Może coś wytargujesz, wiesz od kogo.

Milczeli chwilę.

- Geralt - Foltest po raz pierwszy zwrócił się do wiedźmina po imieniu.

- Słucham.

- Ile jest prawdy w gadaniu, że dziecko było takie, a nie inne, bo Adda była moja siostra?

- Niewiele. Czar trzeba rzucić, żadne zaklęcie nie rzuca się samo. Ale myślę, że wasz związek z siostrą był przyczyną rzucenia czaru, a więc i takiego skutku.

- Tak myślałem. Tak mówili niektórzy z Wiedźmacych, chociaż nie wszyscy. Geralt? Skąd się biorą takie sprawy? Czary, magia?

- Nie wiem, królu. Wiedźmacy zajmują się badaniem przyczyn tych zjawisk. Dla nas, wiedźminów, wystarcza wiedza, że skupiona wola może takie zjawiska powodować. I wiedza, jak je zwalczać.

- Zabijac?

- Najczęściej. Za to nam zresztą najczęściej płaca. Mało kto zada odczynianie uroków, królu. Z reguły ludzie chcą się po prostu uchronić od zagrożenia. Jeżeli zaś potwór ma ludzi na sumieniu, dochodzi jeszcze motyw zemsty.

Król wstał, zrobił kilka kroków po komnacie, zatrzymał się przed mieczem wiedźmina wiszącym na ścianie.

- Tym? - spytał, nie patrząc na Geralta.

- Nie. Ten jest na ludzi.

- Słyszałem. Wiesz co, Geralt? Pójdź z toba do krypty.

- Wykluczone.

Foltest odwrócił się, oczy mu zablysły.

- Czy ty wiesz, czarowniku, że ja jej nie widziałem? Ani po urodzeniu, ani... potem. Bałem się. Może jej już nigdy nie zobaczyc, prawda? Mam prawo chociaż widzieć, jak ją będziesz mordował.

- Powtarzam, wykluczone. To pewna śmierć. Również dla mnie. Jeżeli osłabię uwagę, wole... Nie, królu.

Foltest odwrócił się, ruszył ku drzwiom. Geraltowi przez chwilę zdawało się, że wyjdzie bez słowa, bez pożegnania gestu, ale król zatrzymał się, spojrzał na niego.

- Budzisz zaufanie - powiedział. - Pomimo że wiem, jakie z ciebie ziółko. Opowiadano mi, co zaszło w karczmie. Jestem pewien, że zabiłeś tych opryszków wyłącznie dla rozgłosu, żeby wstrząsnąć ludźmi, mna. Jest dla mnie oczywiste, że mogłeś ich pokonać bez zabijania. Boję się, że nigdy się nie dowiem, czy idziesz ratować moją córkę, czy też ją zabić. Ale godzę się na to. Muszę się zgodzić. Wiesz, dlaczego?

Geralt nie odpowiedział.

- Bo myślę - rzekł król - myślę, że ona cierpi. Prawda?

Wiedźmin utkwil w królu swoje przenikliwe oczy. Nie przytaknął, nie skinął głową, nie uczynił najmniejszego gestu, ale Foltest wiedział. Znal odpowiedź.

V

Geralt po raz ostatni wyjrzał przez okno dworzyszczu. Zmierzch zapadał szybko. Za jeziorem migotały niejasne światelka Wyzimy. Dookola dworzyszczu było pustkowiem - pas ziemi niczyjej, którym miasto w ciągu szesciu lat odgrodziło się od niebezpiecznego miejsca, nie zostawiając nic oprócz kilku ruin, przegniłych belkowan i resztek szczerbatego ostrokołu, których widac nie oplacalo się rozbierać i przenosić. Najdalej, bo na zupełnie przeciwnym krańcu osiedla, przeniósł swoją rezydencję sam król - pekaty stolb jego nowego pałacu czernił się w dali na tle granatowiejskiego nieba.

Wiedzmin wrócił do zakurzonego stołu, przy którym w jednej z pustych, splądrowanych komnat przygotowywał się niespiesznie, spokojnie, pieczołowicie. Czasu, jak wiedział, miał dużo. Strzyga nie opuści krypty przed północą.

Przed sobą na stole miał niedużą, okutą skrzyneczkę. Otworzył ją. Wewnątrz, ciasno, w wyłożonych suchą trawą przegródkach, stały flakoniki z ciemnego szkła. Wiedzmin wyjął trzy. Z podłogi podjął podłużny pakunek, grubo owinięty owczymi skórąmi i okrecony rzemieniem. Rozwinał go, wydobyl miecz z ozdobną rekojescią, w czarnej, lśniacej pochwie pokrytej rzedami runicznych znaków i symboli. Obnażył ostrze, które rozbłysło czystym, lustrzanym blaskiem. Klinga była z czystego srebra.

Geralt wyszeptał formułę, wypił po kolei zawartość dwu flakoników, po każdym łyku kładąc lewą dłoń na głowni miecza. Potem, owijając się szczelnie w swój czarny płaszcz, usiadł. Na podłodze. W komnacie nie było żadnego krzesła. Jak zresztą w całym dworzyszczu.

Siedział nieruchomo, z zamkniętymi oczami. Jego oddech, początkowo równy, stał się nagle przyspieszony, chrapliwy, niespokojny. A potem ustal zupełnie. Mieszanka, za pomocą której wiedzmin poddał pełnej kontroli pracę wszystkich organów ciała, składała się głównie z ciemnicy, bieluniu, glogu i wilczomleczu. Inne jej składniki nie posiadały nazw w żadnym ludzkim języku. Dla człowieka, który nie był, tak jak Geralt, przyzwyczajony do niej od dziecka, byłaby to śmiertelna trucizna.

Wiedzmin gwałtownie odwrócił głowę. Jego słuch, wyostrzony obecnie ponad wszelką miarę, z łatwością wyłowił z ciszy szelest kroków na zarosniętym pokrzywami dziedzincu. To nie mogła być strzyga. Było za jasno. Geralt zarzucił miecz na plecy, ukrył swój tobolek w palenisku zrujnowanego kominka i cicho jak nietoperz zbiegł po schodach.

Na dziedzincu było jeszcze na tyle jasno, by nadchodzący człowiek mógł zobaczyć twarz wiedzmina. Człowiek - był to Ostrit - cofnął się gwałtownie, mimowolny grymas przerażenia i wstretu wykrzywił mu usta. Wiedzmin uśmiechnął się krzywo - wiedział, jak wygląda. Po wypiciu mieszanki pokrzyku, tojadu i świetlika twarz nabiera koloru kredy, a zrenice zajmują całe tęczówki. Ale mikstura pozwala widzieć w najgłębszych ciemnościach, a o to Geraltowi chodziło.

Ostrit opanował się szybko.

- Wyglądasz, jakbyś już był trupem, czarowniku - powiedział. - Pewnie ze strachu. Nie bój się. Przynoszę ci ulaskawienie.

Wiedzmin nie odpowiedział.

- Nie słyszysz, co powiedziałem, riviński znachorze? Jesteś uratowany. I bogaty - Ostrit zwał w reku spora sakwę i rzucił ją pod nogi Geraltowi. - Tysiąc orenów. Bierz to, wsiadaj na konia i wynos się stąd!

Riv wciąż milczał.

- Nie wytrzeszczaj na mnie oczu! - Ostrit podniósł głos. - I nie marnuj mojego czasu. Nie mam

zamiaru stac tutaj do północy. Czy nie rozumiesz? Nie zycze sobie, abys odczynial uroki. Nie, nie mysl, ze odgadles. Nie trzymam z Veleradem i Segelinem. Nie chce, bys ja zabijal. Masz sie po prostu wynosic. Wszystko ma zostac po staremu.

Wiedzmin nie poruszyl sie. Nie chcial, aby wielmoza zorientowal sie, jak przyspieszone sa w tej chwili jego ruchy i reakcje. Ciemnialo szybko, bylo to o tyle korzystne, ze nawet półmrok zmierzchu byl zbyt jaskrawy dla jego rozszerzonych zrenic.

- A dlaczego to, panie, wszystko ma zostac po staremu? - spytal, starajac sie wolno wypowiedac poszczegolne slowa.

- A to - Ostrit dumnie podniósł głowe - powinno cie diabelnie malo obchodzic.

- A jezeli juz wiem?

- Ciekawe.

- Latwiej bedzie usunac Foltesta z tronu, jezeli strzyga dokuczy ludziom jeszcze bardziej? Jezeli królewskie szalenstwo do cna obrzydnie i wielmozom, i pospólstwu, prawda? Jechalem do was przez Redanie, przez Novigrad. Wiele sie tam mówi o tym, ze niektórzy w Wyzimie wygladaja króla Vizimira jako wybawiciela i prawdziwego monarche. Ale mnie, panie Ostrit, nie obchodzi ani polityka, ani sukcesje tronów, ani przewroty palacowe. Ja jestem tu, aby wykonac prace. Nie slyszeliscie nigdy o poczuciu obowiazku i zwyklej uczciwosci? O etyce zawodowej?

- Uwazaj, do kogo mówisz, włóczego! - krzyknal wsciekle Ostrit, kladac dlon na rekojesci miecza. - Dosc juz mam tego, nie przywyklem dyskutowac z byle kim! Patrzcie go, etyka, kodeksy, moralnosc?! Kto to mówi? Zbój, który ledwo przybyl, pomordowal ludzi? Który gial sie przed Foltestem w uklonach, a za jego plecami targowal sie z Veleradem jak najemny zbir? I ty osmielasz sie zadzierac glowe, pacholku? Udawac Wiedzacego? Maga? Czarodzieja? Ty parszywy wiedzminie! Precz stad, zanim plazem przez pysk przejade!

Wiedzmin nawet nie drgnal, stal spokojnie.

- To wy stad idcie, panie Ostrit - powiedzial. - Sciemnia sie.

Ostrit cofnal sie o krok, blyskawicznie dobyl miecza.

- Sam tego chciales, czarowniku. Zabije cie. Nic ci nie pomoga twoje sztuczki. Mam przy sobie zólwi kamien.

Geralt usmiechnal sie. Opinia o mocy zólwiego kamienia byla równie powszechna, jak bledna. Ale wiedzmin nie myslal tracic sil na zaklecia, ani tym bardziej narazac srebrnej klingi na zetkniecie sie z brzeszczotem Ostrita. Znurkowal pod mlynkujacym ostrzem i nasada piesci, srebrnymi cwiekami mankietu uderzyl wielmoze w skron.

VI

Ostrit oprzytomnial rychlo, wozdil wokol oczami w zupelnej ciemnosci. Spozrzegl, ze jest związany. Geralta, który stal tuz obok, nie widzial. Ale zorientowal sie, gdzie jest, i zawyl, przeciagle, przerazliwie.

- Milcz - rzekl wiedzmin. - Bo przyciagniesz ja przed czasem.

- Ty przeklety morderco! Gdzie jestes? Rozwiaz mnie natychmiast, lajdaku! Bedziesz za to wisial, suczy synu!

- Milcz.

Ostrit dyszal ciezko.

- Zostawisz mnie jej na pozarcie! Zwiazanego? - spytal juz ciszej, dorzucajac plugawe wyzwisko prawie szeptem.

- Nie - rzekl wiedzmin. - Wypuszcze cie. Ale nie teraz.

- Ty lotrze - zasyczal Ostrit. - Zeby odciagnac strzyge?

- Tak.

Ostrit zamilkł, przestał się miotać, leżał spokojnie.

- Wiedzminie?

- Tak.

- To prawda, że chciałem obalic Foltesta. Nie ja jeden. Ale ja jeden pragnąłem jego śmierci, chciałem, by umarł w mekach, by oszalał, by żywcem zgnił. Wiesz, dlaczego?

Geralt milczał.

- Kochałem Adde. Królewska siostra. Królewska kochanka. Królewska dziewczka. Kochałem ja...

Wiedzminie, jesteś tu?

- Jestem.

- Wiem, co myślisz. Ale tak nie było. Uwierz mi, nie rzucałem żadnych uroków. Nie znam się na żadnych czarach. Tylko raz w złości powiedziałem... Tylko raz. Wiedzminie? Słuchasz?

- Słucham.

- To jego matka, stara królowa. To na pewno ona. Nie mogła patrzeć, że on i Adda... To nie ja. Ja tylko raz, wiesz, próbowałem perswadować, a Adda... Wiedzminie! Zamroczyło mnie i powiedziałem... Wiedzminie? To ja? Ja?

- To już nie ma znaczenia.

- Wiedzminie? Północ blisko?

- Blisko.

- Wypuść mnie wcześniej. Daj mi więcej czasu.

- Nie.

Ostrit nie usłyszał zgrzytu odsuwanej płyty grobowca, ale wiedzmin tak. Pochylił się i rozciął sztyletem wieży wielmoży. Ostrit nie czekał na żadne słowa, zerwał się, niezgrabnie pokustykał zdrewniałymi, pobiegł. Jego wzrok na tyle już przyzwyczaił się do ciemności, że widział drogę prowadzącą z głównej sali do wyjścia.

Z hukiem wyskoczyła z podłogi płyta blokująca wejście do krypty. Geralt, przezornie ukryty za balustradą schodów, dostrzegł pokręconą postać strzygi, pedzaca zwinnie, szybko i nieomylnie w ślad za oddalającym się tupotem butów Ostrita. Strzyga nie wydała z siebie najmniejszego dźwięku.

Potworny, rozedrgany, opętany wrzask rozdarł noc, wstrząsnął starymi murami i trwał, wznosząc się i opadając, wibrując. Wiedzmin nie mógł dokładnie ocenić odległości - jego wyczulony słuch mylił - ale wiedział, że strzyga dopadła Ostrita szybko. Za szybko.

Wyszedł na środek sali, stanął tuż przy wejściu do krypty. Odrzucił płaszcz. Poruszył barkami, poprawiając ułożenie miecza. Naciągnął rękawice. Miał jeszcze chwile czasu. Wiedział, że strzyga, choć najedzona po ostatniej pełni, nie porzucił przedko trupa Ostrita. Serce i watra były dla niej cennym zapasem pożywienia na długie trwanie w letargu.

Wiedzmin czekał. Do jutrzeńki, jak obliczał, pozostawało jeszcze około trzech godzin. Pianie koguta mogłoby go tylko zmylić. W okolicy nie było zresztą prawdopodobnie żadnych kogutów. Usłyszał. Szła powoli, człapiąc po posadzce. A potem zobaczył ją.

Opis był dokładny. Nieproporcjonalnie duża głowa osadzona na krótkiej szyi okolona była spletaną, wijącą się aureolą czerwonych włosów. Oczy świeciły w mroku jak dwa karbunkuly. Strzyga stała nieruchomo, wpatrzona w Geralta. Nagle otworzyła paszczę - jak gdyby chwałac się rzędami białych, spiczastych zębisk, po czym klapnęła zuchwa z trzaskiem przypominającym zamykanie skrzyni. I od razu skoczyła, z miejsca, bez rozbiegu, godząc w wiedzmina okrwawionymi pazurami.

Geralt odskoczył w bok, zawirował w błyskawicznym piruecie, strzyga otarła się o niego, też

zawirowala, tnac powietrze szponami. Nie stracila równowagi, zaatakowala ponownie, natychmiast, z półobrotu, klapiac zębami tuż przed piersią Geralta. Riv odskoczył w drugą stronę, trzykrotnie zmienił kierunek obrotu w furkoczającym piruecie, zdeorientował strzygę. Odskakując, mocno, choć bez zamachu, uderzył ją w bok głowy srebrnymi kolcami osadzonymi na wierzchniej stronie rekawicy, na knykciach.

Strzyga zaryczała potwornie, wypełniając dworzyszcze dudniącym echem, przypadła do ziemi, zamarla i poczęła wyc, glucho, złowrogo, wściekle.

Wiedzmin usmiechnął się złośliwie. Pierwsza próba, tak jak liczył, wypadła pomysłnie. Srebro było zabójcze dla strzygi, jak dla większości potworów powołanych do życia przez czary. Istniała więc szansa: bestia była jak inne, a to mogło gwarantować pomysłne odczarowanie, zaś srebrny miecz, ostateczność, mógł gwarantować mu życie.

Strzyga nie spieszyła się z następnym atakiem. Tym razem zbliżała się wolno, szczerząc kły, sliniąc się obrzydliwie. Geralt cofnął się, szedł półkolem, ostrożnie stawiając kroki, zwalniając i przyspieszając ruchy dekoncentrował strzygę, utrudnił jej spieczenie się do skoku. Idąc wiedzmin rozwijał długi, cienki, mocny lancuch, obciążony na koncu. Lancuch był ze srebra.

W momencie gdy strzyga spreżyła się i skoczyła, lancuch swisnął w powietrzu i zwiłając się jak wąż, w okamgnieniu oplótł ramiona, szyję i głowę potwora. Strzyga zwała się w skoku, wydając przeszywający uszy wżg. Miotła się po posadzce, rycząc okropnie, nie wiadomo było, z wściekłości czy z palącego bólu, jaki zadawał jej nienawistny metal. Geralt był zadowolony - zabicie strzygi, gdyby tego chciał, nie przedstawiało w tej chwili wielkiego problemu. Ale wiedzmin nie dobywał miecza. Jak do tej pory nic w zachowaniu strzygi nie dawało powodów przypuszczać, że mógłby to być przypadek nieuleczalny. Geralt cofnął się na odpowiednią odległość i nie spuszczać wzroku z kotlującego się na posadzce kształtu, oddychał głęboko, koncentrował się.

Lancuch pekił, srebrne ogniwa, jak deszcz, sypnęły się na wszystkie strony, dzwoniąc po kamieniu. Zaslepiona wściekłością strzyga runęła do ataku wyjąc. Geralt czekał spokojnie, uniesiona prawa dłoń kreslił przed sobą Znak Aard.

Strzyga poleciała w tył kilka kroków jak uderzona młotem, ale utrzymała się na nogach, wyciągnęła szpony, obnazyla kły. Jej włosy uniosły się i zalopotały, jak gdyby szła pod gwałtowny wiatr. Z trudem, charcząc, krok po kroku, powoli szła. Jednak szła.

Geralt zaniepokoił się. Nie oczekiwał, że tak prosty Znak zupełnie sparalizuje strzygę, ale i nie spodziewał się, że bestia pokona opór tak łatwo. Nie mógł trzymać Znaku zbyt długo, było to zbyt wyczerpujące, a strzyga miała już do przebycia nie więcej niż dziesięć kroków. Raptownie zdjął Znak i odskoczył w bok. Tak jak oczekiwał, zaskoczona strzyga poleciała naprzód, straciła równowagę, przewróciła się, poslizgnęła po posadzce i stoczyła w dół po schodach, w ziejący w podłodze otwór wejścia do krypty. Z dołu rozległo się jej potępięcze wycie.

Aby zyskać na czasie, Geralt skoczył na schody prowadzące na galerijkę. Nie przebył nawet połowy stopni, gdy strzyga wypadła z krypty, pedząc jak ogromny czarny pajak. Wiedzmin odczekał, aż wbiegnie za nim na schody, po czym przesadził balustradę, zeskokczył w dół.

Strzyga zakreciła się na schodach, odbiła i poleciała na niego w nieprawdopodobnym, ponad dziesięciometrowym skoku. Nie dała się już tak łatwo zwieść jego piruetom - dwukrotnie jej szpony naznaczyły skórzany kaftan Riva. Ale ponowny, rozpaczliwie mocny cios srebrnych kolców rekawicy odrzucił strzygę, zachwiał nią. Geralt, czując wzbierającą w sobie wściekłość, zakolysał się, wygiął tułów do tyłu i potężnym kopniakiem w bok zwałił bestię z nóg.

Ryk, jaki wydała, był głośniejszy od wszystkich poprzednich. Az tynk posypał się z sufitu.

Strzyga zerwała się, dygocąc z nieopanowanej złości i żądzy mordy. Geralt czekał. Już dobył

miecza, opisywał nim w powietrzu kola, szedł, okrazał strzygę, baczac, by ruchy miecza były niezgodne z rytmem i tempem jego kroków. Strzyga nie skoczyła, zbliżała się powoli, wodząc oczami za jasną smugą klingi.

Geralt raptownie zatrzymał się, zamarł z uniesionym mieczem. Strzyga, zdetonowana, stanęła również. Wiedzmin opisał ostrzem powolne półkole, zrobił krok w stronę strzygi. Potem jeszcze jeden. A potem skoczył, wywijając mlynca nad głową.

Strzyga skuliła się, zrejterowała zygzakiem, Geralt był znowu blisko, klinga migotała mu w dłoni. Oczy wiedzmina rozpalili się złowrogim blaskiem, zza zacisniętych zębów rwał się chrapliwy ryk. Strzyga znów cofnęła się pchnięta do tyłu mocą skoncentrowanej nienawisci, złości i przemocy emanujących z atakującego ją człowieka, bijących w nią falami, wdzierających się do mózgu i trzewi. Przerazona aż do bólu nie znanym jej dotychczas uczuciem wydała z siebie roztrzesiony, cienki kwik, zakreśliła się w miejscu i rzuciła do oblakanczej ucieczki w mroczną plataninę korytarzy dworzyszczka.

Geralt, wstrząsany dreszczem, stał pośrodku sali. Sam. Długo to trwało, pomyślał, zanim ten taniec na skraju przepaści, ten szalency, makabryczny balet walki doprowadził do oczekiwanego rezultatu, pozwolił mu na osiągnięcie psychicznej jedności z przeciwnikiem, na dobranie się do pokładów skupionej woli, która przepelniała strzygę. Złej, chorobliwej woli, z mocy której strzyga powstała. Wiedzmin zadygotał na wspomnienie momentu, w którym wchłonął w siebie ten ładunek zła, by skierować go, jak zwierciadłem, na potwora. Nigdy jeszcze nie spotkał się z taką koncentracją nienawisci i morderczego szalu, nawet u bazylijszków cieszących się pod tym względem najgorszą sławą.

Tym lepiej, myślał, idąc w stronę wejścia do krypty czerniejącego w podłódze jak ogromna kaluza. Tym lepiej, tym mocniejsze uderzenie odebrała sama strzyga. To mu da trochę więcej czasu na dalsze działanie, zanim bestia otrząśnie się z szoku. Wiedzmin wątpił, czy zdobyłby się na jeszcze jeden podobny wysiłek. Działanie eliksirów słabło, a świt był jeszcze daleko. Strzyga nie może dostać się do krypty przed jutrzeńką, inaczej cały dotychczasowy trud zda się na nic. Zszedł po schodach. Krypta była nieduża, mieściła trzy kamienne sarkofagi. Pierwszy od wejścia miał na w pół odsuniętą pokrywę. Geralt wydobyl zza pazuchy trzeci flakonik, wypił szybko jego zawartość, wszedł do grobowca, zanurzył się w nim. Tak jak oczekiwał, grobowiec był podwójny - dla matki i córki.

Zasunął pokrywę dopiero wtedy, gdy z góry usłyszał znów ryk strzygi. Położył się na wznak obok zmumifikowanych zwłok Addy, na płycie od wewnątrz nakreślił Znak Yrden. Na piersiach położył miecz i postawił małą klepsydrę wypełnioną fosforyzującym piaskiem. Skrzyżował ręce. Nie słyszał już wrzasków strzygi przetrzasającej dworzyszczka. Przestawał słyszeć cokolwiek, bo czworolist i jaskólcze ziele zaczynały działać.

VII

Kiedy Geralt otworzył oczy, piasek w klepsydrze przesypał się już do końca, co oznaczało, że jego letarg był nawet dłuższy, niż należało. Nadstawił uszu - nie usłyszał nic. Jego zmysły działały już normalnie.

Ujął miecz w dłoń, przesunął ręką po pokrywie sarkofagu mruczac formuły, po czym lekko, na kilka cali, odsunął płytę.

Cisza.

Odsunął wieko bardziej, usiadł, trzymając broń w pogotowiu wystawił głowę ponad grobowiec. W krypcie było ciemno, ale wiedzmin wiedział, że na zewnątrz swita. Skrzesał ognia, zapalił miniaturowy kaganek, uniósł go, śląc na ściany krypty dziwaczne cienie.

Pusto.

Wygramolil się z sarkofagu, obolaly, zdrewniały, zziębnięty. I wtedy dostrzegł ją. Leżała na wznak przy grobowcu, naga, nieprzytomna.

Była raczej brzydka. Szczuplutka, z małymi szpiczastymi piersiami, brudna. Włosy - płoworude - sięgały jej prawie do pasa. Stawiając kaganek na płycie ukląkł przy niej, pochylił się. Usta miała blade, na kości policzkowej duży krwiak od jego uderzenia. Geralt zdjął rękawice, odłożył miecz, bezceremonialnie zadarł jej palcem górna wargę. Żeby miała normalne. Siegnął po jej rękę zagrzebana w splatanych włosach. Zanim namacał dłoń, zobaczył otwarte oczy. Za późno.

Chłasnęła go szponami po szyi, tnąc głęboko, krew bryzgnęła jej na twarz. Zawyla, godząc w oczy drugą ręką. Zwalil się na nią, łapiąc za przeguby obu rąk, przygwałdzając do posadzki. Kłapnęła zębami - już za krótkimi - przed jego twarzą. Uderzył ją czołem w twarz, mocniej przydusił. Nie miała już dawnej siły, wyla się tylko pod nim, wyla, wypływając krew - jego krew - zalewająca jej usta. Krew uchodziła szybko. Nie było czasu. Wiedzmin zaklął i ugryzł ją mocno w szyję tuż pod uchem, wbil zęby i zaciskał je, dopóki nieludzkie wycie nie zmieniło się w cienki, rozpaczliwy krzyk, a potem dławiący się szloch - płacz krzywdzonej czternastoletniej dziewczynki.

Puscil ją, gdy przestała się poruszać, uniósł się na kolana, wyrwał z kieszeni na rękawie kawał płótna, przycisnął go do szyi. Namacał leżący obok miecz, przyłożył nieprzytomnej dziewczynie ostrze do gardła, pochylił się nad jej dłonią. Paznokcie były brudne, polamane, zakrwawione, ale... normalne. Najzupełniej normalne.

Wiedzmin wstał z trudem. Przez wejście do krypty wlewała się już lepko-mokra szarość poranka. Ruszył ku schodom, ale zachwiał się, usiadł ciężko na posadzce. Przez przesiaknięte płótno krew ląła mu się po ręce, ściekała do rękawa. Rozpiał kaftan, rozdarł koszulę, prul, darł szmaty, wiał je wokół szyi wiedząc, że nie ma za dużo czasu, że zaraz zemdleje...

Zdążył. I zemdlął.

W Wyzimie, za jeziorem, kogut, strosząc pióra w chłodnej wilgoci, zapiał ochryple po raz trzeci.

VIII

Zobaczył bielone ściany i belkowany sufit komnatki nad kordegarda. Poruszył głową krzywiąc się z bólu, jęknął. Szyję miał obandażowaną, grubo, solidnie, fachowo.

- Leż czarowniku - powiedział Velerad. - Leż, nie ruszaj się.

- Mój... miecz...

- Tak, tak. Najważniejszy jest oczywiście twój srebrny, wiedzminski miecz. Jest tu, nie obawiaj się. I miecz, i kuferek. I trzy tysiące orenów. Tak, tak, nic nie mów. To ja jestem stary duren, a ty jesteś mądry wiedzmin. Foltest powtarza to od dwóch dni.

- Dwóch...

- Ano, dwóch. Niezle rozplątała ci szyję, widac było wszystko, co tam masz w środku. Straciłeś mnóstwo krwi. Szczesciem pognalismy do dworzyszczu zaraz po trzecich kurach. W Wyzimie nikt nie spał tamtej nocy. Nie dało się. Okropnieście tam hałasowali. Nie męczycie moje gadanie?

- Kró... lewna?

- Królowna jak królowna. Chuda. I głupawa taka jakas. Płacze bez ustanku. I sika w łóżko. Ale Foltest mówi, że to się jej odmieni. Myślę, że nie na gorsze, co, Geralt?

Wiedzmin zamknął oczy.

- Dobrze, idę już - Velerad wstał. - Odpoczywaj. Geralt? Zanim pójdę, powiedz, dlaczego

chciales ja zagryzc? He? Geralt?
Wiedzmin spal.